

Mój kraj jest tam, gdzie są moje buty **O orientalistach, wywiadach z ikonami, patriotyzmie i pułapkach ignorancji**

z dr. hab. Piotrem Balcerowiczem, prof. UW, rozmawia Tomasz Pietrzak

Tomarz Pietrzak: Jesteśmy świadkami przeobrażeń w niektórych krajach arabskich, poczynając od Tunezji, przez Egipt, Bahrajn, a obecnie – w najbardziej dramatycznej odsłonie – w Libii. Gdy zaczęły do nas dochodzić pierwsze wieści z tego rejonu świata, media przypomniały sobie o orientalistach i na gwałt zaczęły domagać się od nich wyjaśnienia sytuacji. Jaką rolę do odegrania mają orientaliści w kontekście najświeższych wydarzeń? Mogą tylko biernie komentować czy mają też prawo opowiedzieć się po którejś ze stron?

Piotr Balcerowicz: To są ważne kwestie. Może zacznę od tego, dlaczego media zwracają się do orientalistów w takiej sytuacji, a nie wcześniej, w czasach pokoju. To obnaża ignorancję polityków i dziennikarzy, którzy w czasach spokoju komentują rzeczywistość i nie czują potrzeby jej rozumienia. Politycy podejmują decyzje, kierując się własnym interesem, bez zrozumienia obszarów pozaeuropejskich, i dopiero sytuacja kryzysowa pokazuje im, jak ogromna jest ich niewiedza. Świat, który wydawał im się znajomy, wcale taki nie jest. Nie znają powodów obserwowanych wydarzeń, a do ich wyjaśnienia nagle potrzebni są im orientaliści. Ten brak porozumienia jest jednak poważnym błędem, bo wielu przykrych wydarzeń można by było uniknąć, gdyby dziennikarze i politycy zwracali się do orientalistów ciągle. Nie tylko po objaśnienia konfliktów, ale także po rady, jak postępować ze światem pozaeuropejskim.

Myślę, że gdyby częściej zasięgano opinii orientalistów, regiony takie jak Afryka Północna by na tym zyskały. Zachód nie popełniłby bardzo wielu błędów, które pogłębiły już trwające tam kryzysy. Rolą orientalisty jest nie tylko zrozumienie tego, co dzieje się w Azji i Afryce, ale także formułowanie wniosków. Samo zrozumienie sytuacji jest niewystarczające. My, orientaliści, powinniśmy z nauki wyciągać wnioski i sugerować określone rozwiązania. Nakłada to na nas bardzo ważny obowiązek, bowiem do warsztatu

orientalisty nie należy wyłącznie znajomość kultury i języków, ale i szersza znajomość procesów społecznych i politycznych konieczna do formułowania wniosków. Często, niestety, orientalista jest wyuczoną papugą, która – choć umie mówić – nie ma nic do powiedzenia.

To jednak dość smutna konstatacja. Ale kim tak naprawdę powinien być orientalista? Czy jest to, jak nas zgryźliwie skrytykował Edward Said, osoba, która pretenduje do bycia ekspertem od połowy świata, która równie łatwo komentuje sytuację w Egipcie, opowiada o dawnych Indiach i objaśnia procesy we współczesnych Chinach? Jakie cechy powinien mieć ideał?

Myślę, że orientalista jest specjalistą od wszystkiego w danym regionie. To, o czym Pan mówi, jest niemożliwe. Spróbujmy wyobrazić sobie europeistę, który zna się na historii, polityce, procesach społecznych w całej Europie, umie wyjaśniać zjawiska w którymś z kantonów w Szwajcarii, które miały miejsce w XII w., a zarazem zawiłości XVIII-wiecznej Szkocji itd. To niewykonalne. Orientaliści muszą sobie uświadomić, że nie będą specjalistami od wszystkiego. Orientalistyka daje ogromne możliwości badawcze, możliwości rozwoju własnej osobowości i własnej wiedzy. Myślę, że ta nauka daje niezwykle rzadką okazję do wszechstronnego rozwoju, bo musimy korzystać z różnych metodologii badawczych i różnych warsztatów naukowych rozmaitych dziedzin: historii, antropologii, językoznawstwa, socjologii, politologii. Musimy nauczyć się posługiwać warształem tych nauk, choć nigdy nie jesteśmy specjalistami tylko w jednej z nich.

Jednocześnie orientalistyka daje tę rzadką możliwość spojrzenia na świat – i na siebie – z dużym dystansem. Wzrastając w pewnym kręgu kulturowym, przyjmujemy pewne rzeczy za pewnik. Dopiero konfrontacja z innymi kulturami powoduje, że musimy się od tych pewników uwolnić. Musimy sobie uświadomić, że są ludzie, którzy myślą inaczej, wyznają inne wartości, których tradycja i historia jest inna. I to daje nam możliwość zrewidowania postrzegania samych siebie. Takie świeże spojrzenie na samego siebie jest bardzo ważnym czynnikiem rozwoju osobowości. Orientalista nieustannie przegląda się w zwierciadle innych kultur i nieustannie rewiduje swoje samopostzebanie.

W zeszłym roku byliśmy świadkami debaty, która odbyła się w Instytucie Historycznym UW. Studenci historii ironicznie zapytali arabistę, prof. Marka Dziekana, czy orientalistyka jest samodzielną nauką. Bo skoro nie ma własnej metodologii badań, to nie ma swojego odrębnego miejsca w gałęzi nauk humanistycznych. To dziedzina wiedzy, ale nie odrębna nauka. Co Pan o tym sądzi?

Zabawne jest to, że te opinie były formułowane przez historyków, wobec których takich zarzutów można by wysunąć jeszcze więcej. Historia także nie ma własnej metody badań i na pewno nie jest nauką w sensie ścisłym. Jest to tylko opisywanie przebiegu zdarzeń i próba ich zrozumienia.

A narzędzia interpretacji tekstów źródłowych?

Gdy historyk zaczyna interpretować teksty źródłowe, musi posługiwać się warsz-
tatem nie będącym wytworem nauk historycznych. Są to narzędzia wytworzone przez
językoznawców, filozofów, literaturoznawców, antropologów i... orientalistów. Ba-
dając historię Hiszpanii, trzeba analizować również źródła arabskie. Pisząc o Polsce
w XVII w., trudno poradzić sobie bez znajomości źródeł tureckich. W humanistyce
w ogóle nie mamy do czynienia z naukami w sensie ścisłym, tzn. z takimi, których
celem jest odnalezienie pewnych praw, które umożliwiają przepowiedzenie przyszo-
łości w sposób ścisły. Zarówno historia, jak i orientalistyka mogą być jednak rozumiane
jako dziedziny nauki pomagające nam zrozumieć to, co jest wokół nas, więc poniekąd
jedziemy na tym samym wózku.

Jest Pan autorem bardzo wielu wywiadów z niezwykle ludźmi, np. Ahma- dem Szahem Masudem (legendarnym „Lwem Panczsziru”), Jassirem Arafatem, Szymonem Peresem, Hamidem Karzajem i innymi. Co Pana skłoniło do rozmowy z tymi ludźmi?

To osoby, które w swoich środowiskach zostały swego rodzaju ikonami i uważam, że
ważne jest, by porozmawiać także z takimi ludźmi, które dla wielu przestawiciele danej
kultury stanowią wzór. Już samo docieranie do nich ułatwia zrozumienie całego systemu,
który je otacza. Staram się rozmawiać z osobami z krajów czy środowisk uwikłanych
w jakieś konflikty na tle religijnym czy etnicznym. Chcąc zrozumieć istotę tych konflik-
tów, staram się rozmawiać nie tylko z ich bezpośrednimi uczestnikami na linii frontu, lecz
także z liderami różnych środowisk.

A jeśli chodzi o techniczną stronę tych wywiadów? Jak się Pan umawiał z ta- kimi „ikonami”?

[*śmiech*] Jestem trochę bezradny, bo myślę, że miałem po prostu dużo szczęścia
i trochę siły przekonywania. Nie zawsze jest to łatwe. Np. z Jassirem Arafatem udało
mi się przeprowadzić wywiad w bardzo krótkim czasie i miałem całą godzinę, podczas
gdy ekipa BBC, która była po mnie, czekała pięć tygodni i dostała piętnaście minut.
Myślę, że ważna jest też postawa, z której bije autentyczna chęć zrozumienia i zupełnie
ludzkiego podejścia, bez wcześniejszych stereotypów. To z pewnością ułatwia zadanie.

W przeciwnym wypadku trudno byłoby dotrzeć np. do przedstawicieli Hezbollahu, Hamasu czy do talibów.

Czym jest dla Pana dobry wywiad?

Moim zdaniem dobry wywiad to rozmowa, która pozwala nam głębiej wniknąć w tło zdarzeń, zrozumieć sposób myślenia naszego rozmówcy. Wiele wywiadów polega tylko na prostym zadaniu pytania i uzyskaniu odpowiedzi. Z takiego schematu raczej nic nie wynika, to tylko dążenie do uzyskania stanowiska danej osoby w danej sprawie. Równie ważne jest pytanie, skąd takie stanowisko się bierze. Kiedy przeprowadzam wywiad z osobami uwikłanymi w konflikty, to chcę się dowiedzieć, jak te konflikty rozwiązać. Często jest to bardzo trudne, ale wierzę, że nie ma konfliktów, których nie da się rozwiązać.

A więc, przeprowadzając wywiad, jest Pan *tabula rasa*, na której rozmówca pisze to, co myśli?

Jeśli chodzi o wartościowanie – tak, ale nie da się przeprowadzić dobrego wywiadu, będąc ignorantem, więc pod tym względem – nie. Rozmowa, której celem jest głębsze zrozumienie drugiej strony, już wymaga od nas dobrego przygotowania. Z tym wiąże się też pewna ułuda, bowiem wszyscy uważamy, że chcąc rozmawiać o matematyce czy chemii, musimy się wcześniej przygotować, natomiast wiele osób myśli, że o obcych kulturach może się wypowiadać każdy. I w mediach, rzeczywiście, każdy się wypowiada. A to jest pułapka powszechnej ignorancji.

Kiedyś powiedział Pan o sobie, że jest Pan „obywatelem świata”. To wyrażenie dużo o Panu mówi, ale w jaki sposób studia nad dość wąską dziedziną, jaką jest filozofia indyjska, doprowadziły Pana do takiego poczucia?

Przyznam, że zawsze niechętnie patrzyłem na postawy patriotyczne czy narodowe, uważając je za pewną skazę. Zawsze dziwiło mnie, dlaczego ja miałbym domagać się lepszego traktowania niż mój sąsiad z drugiej strony granicy. Człowiek, który myśli o tym, żeby w Polsce żyło się lepiej, musi uświadomić sobie, że w Polsce nie będzie lepiej, jeśli na świecie nie będzie lepiej. Studiowałem w wielu krajach, w Polsce, w Indiach, w Niemczech, jeździłem do wielu miejsc na świecie i to chyba sprawia, że uważam się za produkt wielu kultur. Bardzo często łapię się na tym, że myślę trochę po afgańsku, trochę po kazachsku, trochę po indyjsku, trochę po niemiecku. Nie jestem w stanie powiedzieć, że czuję się związany z jakimś regionem świata bardziej niż z innymi i uważam, że jest to właściwa postawa. Ja nie mam kultury, którą uważam za własną i często mówię: „mój kraj jest tam, gdzie są moje buty”. Zupełnie

przypadkowo urodziłem się akurat w tym miejscu, ale nie nakłada to na mnie żadnych szczególnych obowiązków. Staram się podchodzić odpowiedzialnie do otoczenia zarówno tu, jak i w Niemczech albo w Indiach.

A więc nie uważa się Pan w żadnym stopniu za patriotę?

Przyznam, że pojęcie patriotyzmu jest mi obce. Myślę, że we współczesnym świecie jest ono bezwartościowe. Co więcej, uważam je za szkodliwe, bo granica między patriotyzmem a nacjonalizmem jest niezwykle płynna. Wolałbym je zastąpić pojęciem „obywatelskości” lub „odpowiedzialności”. Myślę, że osoba, która odpowiedzialnie podchodzi do swojego miejsca w świecie, może zdziałać dużo więcej niż ta, która mieni się patriotą.

Myśli Pan, że to, co się teraz dzieje w krajach arabskich, jest głosem całego świata rozwijającego się, czy tylko specyfiką tego regionu? Myśli Pan, że to początek zjawiska o wiele większego?

Myślę, że to zarówno kontynuacja, jak i początek. Kontynuacja wojny w Iraku, która w sposób bardzo dramatyczny obnażyła prawdziwe światowe interesy USA. Mówiąc o demokracji i prawach człowieka, Stany Zjednoczone doprowadziły do konfliktu, w którym każdego roku ginie więcej ludzi niż podczas rządów Saddama Husajna. Wojna obnażyła też powiązania USA z różnymi dyktatorami, a arabska ulica dowiedziała się, że rządzący nią przywódcy nie reprezentują interesów swojego ludu. W tym sensie jest to kontynuacja. Myślę też, że to także początek procesów, które w perspektywie długofalowej doprowadzą do zmian nie tylko w tym regionie świata. Podejrzewam, że taką beczką prochu, która pod wpływem społecznego niezadowolenia kiedyś eksploduje, jest także Azja Centralna, a takich konfliktów jak ten, którego jesteśmy świadkami, będzie w przyszłości o wiele więcej, jeżeli Zachód nie zacznie im przeciwdziałać.

Takim działaniem jest np. Pańska „praca u podstaw” w ramach stowarzyszenia Edukacja dla Pokoju?¹

Tak, myślę, że bardzo ważne jest uświadamianie społeczeństwu zachodnim pewnych niesprawiedliwości, a jednocześnie podejmowanie projektów, które pomagają aktywizować ludzi w regionach najbardziej ubogich. Nie chodzi tu o rozdawnictwo, bo nie wystarczy dać komuś pieniądze. Trzeba go nauczyć, co może z tymi

¹ *Edukacja dla Pokoju* to organizacją pożytku publicznego, która buduje szkoły w trudno dostępnych i biednych regionach Azji i Afryki. Prof. Piotr Balcerowicz jest twórcą i prezesem Edukacji od 2002 r. Więcej informacji można znaleźć po adresie <http://www.edukacjadlapokoju.org/>.

pieniężmi zrobić, żeby mógł funkcjonować samodzielnie. Jak na razie działania państw bogatych mają na celu gospodarcze uzależnienie od siebie państw biedniejszych. Dopiero obopólne korzystanie ze wspólnego dobra wspomůže na świecie równomierny rozwój.

dr hab. Piotr Balcerowicz, prof. UW

Wykładowca na Wydziale Orientalistycznym Uniwersytetu Warszawskiego i w Katedrze Stosunków Międzynarodowych Szkoły Wyższej Psychologii Społecznej. Twórca i prezes organizacji Edukacja dla Pokoju. Autor publikacji poświęconych między innymi Afganistanowi, sztuce i kulturze Indii oraz dżinizmowi, a także wywiadów z ikonami Bliskiego Wschodu: Ahmadem Szahem Masudem (legendarnym „Lwem Panczsziru”), Jassirem Arafatem, Szymonem Peresem czy Hamidem Karzajem.

Agnieszka Budzich

Szkolny mundurek i jego miejsce w Japonii

Mając styczność z japońską popkulturą, czy to przez anime i mangę, czy przez film i muzykę, nietrudno zauważyć wspólny dla większości pojawiających się w nich dziewcząt element – szkolny mundurek. Nawet osobom niezaznajomionym z japońską kulturą łatwo go rozpoznać i skojarzyć z jednym konkretnym krajem.

Marynarskie inspiracje

Najbardziej typowym przykładem szkolnego mundurka jest tak zwane *sailor fuku*, dosłownie „marynarski mundurek”, „marynarskie ubranie”, które pojawiło się w japońskich szkołach w 1921 r. i, pomimo dynamicznej ewolucji, przetrwało do dziś.

W pierwszej dekadzie XX w. ubranie inspirowane stylem marynarskim składające się z luźnych spodni i bluzy ozdobionej kołnierzykiem z kokardką używane było głównie jako strój do ćwiczeń. Później rozpowszechniło się do tego stopnia, że uznano je za oficjalny strój do nauki. Bardzo szybko zrezygnowano ze spodni na rzecz jednoczęściowych sukienek z kołnierzykami, które później ustąpiły na rzecz dwuczęściowych mundurków z plisowanymi spódnicami. Spodnie wróciły na chwilę w czasie wojny, gdyż podczas ucieczek przed bombardowaniami pozwalały na większą swobodę ruchów.

Mundurki a społeczeństwo japońskie

Japońskie społeczeństwo dąży do homogeniczności, jedności w grupie. Od jednostki wymaga się poświęcenia i dostosowywania własnych potrzeb do potrzeb i celów większości kosztem indywidualnych cech i ambicji. Jako że postawa ta przewija się w różnych aspektach życia Japończyków od ich najmłodszych lat, nie mogło jej zabraknąć również w szkole.

Wprowadzając przepisy regulujące strój i wygląd uczniów, szkoła dba o zachowanie równowagi i równości w grupie – nikt nie może się wyróżniać. Noszenie jednakowego

stroju ma również zapewnić poczucie więzi, bezpieczeństwa i komfortu jednostki, która znajduje się wśród osób takich samych jak ona. Jest to także zgodne z japońską zasadą, w myśl której do każdej okazji należy dobrać stosowny strój, w tym wypadku taki, który jest odpowiedni do nauki.

Gloryfikacja mundurka

Chociaż głównym przeznaczeniem mundurka jest bycie ubiorem szkolnym, nastoletnie dziewczęta uczyniły z niego prawdziwą ikonę swojego stylu życia.

W Japonii lata szkolne postrzegane są jako okres wolności, czas pomiędzy dzieciństwem a dorosłością. Dla wielu dziewcząt to jedyny okres w życiu, kiedy mogą czuć się wolne od wymagań i presji społeczeństwa ustalającego sztywne normy i reguły zachowań po opuszczeniu szkoły. Z tego powodu szkolny mundur, jako dowód przynależności do pewnej społeczności, symbol młodości i niewinności, otaczany jest szczególnym kultem. Wiele dziewcząt przy wyborze szkoły kieruje się kryterium wymaganych w nich mundurków. Wybierają te placówki, których uniformy wydają im się najładniejsze i najmodniejsze. Każda szkoła ma własny, unikatowy wzór stroju, po którym od razu można rozpoznać, gdzie uczy się dana dziewczyna. Wzór i wykonanie mundurka łączą się także z prestiżem danej placówki. Wszystkie stroje występują w dwóch wersjach – z krótkim i z długim rękawem. Często dodaje się do nich marynarkę albo rozpinany sweter.

Zdarza się, że osoby niezadowolone z mundurków preferowanych przez swoje szkoły zaopatrują się w tzw. *nanchatte seifuku*, „udawane uniformy”, które na pierwszy rzut oka wyglądają jak prawdziwe mundurki, ale nie są związane z żadną szkołą. Od kiedy ładne uniformy stały się towarem pożądanym wśród młodych dziewcząt, pojawiło się wiele firm oferujących tego typu ubrania. Można przebierać w stylach i fasonach, a także tworzyć własne, unikatowe połączenia.

Nanchatte seifuku są także popularne wśród dziewcząt i młodych kobiet, które ukończyły już szkołę, ale wciąż tęsknią za tym okresem życia i starają się przywrócić związane z nim wspomnienia.

Szkolny mundur a subkultura

Subkulturą, która wyjątkowo upodobała sobie szkolne mundurki, były tak zwane *sukeban* – grupy dziewcząt imitujących zachowania męskich gangów (samo słowo *sukeban* oznacza liderkę takiego gangu). Ich subkultura pojawiła się w połowie lat 60. i zniknęła w późnych latach 70.

Dziewczęta należące do *sukeban* używały wulgarnego, ostrego języka, paliły papierosy i nosiły różnego rodzaju broń: żyłki, łańcuchy i bambusowe miecze. Prowadziły ostre walki o terytorium z podobnymi grupami i specjalizowały się w kradzieżach sklepowych. Surowo przestrzegały panujących wewnątrz gangu zasad, które same ustanawiały, dotkliwie karząc wszelkie przewinienia i wykroczenia. Większość z nich potępiała randkowanie i spotkanie się z chłopcami, co było karane przez inne członkinie grupy, a także zdradę aktualnego partnera, jeśli regulamin gangu w ogóle pozwalał na wiązanie się z mężczyznami.

Partnerami dziewcząt z *sukeban* byli przeważnie członkowie męskich gangów, których styl życia odpowiadał stylowi dziewczyn. Mimo swych kontrowersyjnych zachowań, członkinie dziewczęcych gangów ubierały się konserwatywnie. Nosiły mundurki szkolne z długimi spódnicami i szkolnymi kapciami, chociaż skracaly bluzki tak, żeby pomiędzy nimi a spódnicą widoczny był kawałek skóry, a czasem odsłonięty pępek. Często ozdabiały mundurki, haftując na nich różne wzory i hasła. Ale mimo to potępiały przesadny makijaż i seksowny wygląd. Chociaż nie wszystkie dziewczyny noszące mundurek w ten sposób faktycznie należały do gangów, styl *sukeban* przyjął się wśród uczennic w wielu szkołach, stając się popularnym wyrazem buntu i formą manifestowania swojego indywidualizmu.

Fetyszycacja mundurka

Kiedy w połowie lat 90. pojawiła się subkultura *kogyaru/kogal*, szkolne mundurki nabrały nowego, bardziej seksualnego znaczenia.

Słowo *kogyaru* pochodzi od połączenia słów *gyaru*, wywodzącego się od angielskiego słowa *gal* oznaczającego dziewczynę, i *ko*, oznaczającego dziecko. Druga hipoteza wyjaśniająca tę nazwę sugeruje, że człon *ko* pochodzi od pierwszego znaku ze słowa *kôkôsei* oznaczającego ucznia/uczennicę liceum. Zgodnie z tą interpretacją, *kogyaru* oznacza po prostu licealistkę. Subkultura ta rozwijała się w tokijskiej dzielnicy Shibuya w II połowie lat 90. i była punktem wyjścia dla innych, późniejszych modyfikacji.

Członkinie tej grupy starały się wyglądać tak młodo, jak to tylko możliwe – nosiły mundurki ze skróconymi spódnicami, przyduże ubrania i luźne, zakrywające nogi skarpety. *Kogyaru* tleniły włosy, chodziły w butach na gigantycznych platformach i często odwiedzały solarium, gdzie zdobywały silną, charakterystyczną opaleniznę. Obwieszały się akcesoriami z Hello Kitty, słodkimi naklejkami, pluszowymi zwierzakami i kolorowymi ozdobami do włosów. *Kogyaru* jako jedne z pierwszych zaczęły używać telefonów komórkowych i wytworzyły pomiędzy sobą własny język – *gyarugo/galgo*, a także własny styl pisma – *gyaru moji*. Ponieważ niezwykle popularne w ich otoczeniu

było posiadanie markowych rzeczy, a one same nie miały wystarczająco dużo pieniędzy, żeby je kupować, często angażowały się w tak zwane *enjo kosai*, czyli płatne randki. Spotykały się ze starszymi, zamożnymi mężczyznami, którzy kupowali im pożądane dobra w zamian za towarzystwo, a czasem seks.

Kiedy media nagłośniły ten problem, rozpoczęły się akcje zwalczania ruchu *kogyaru* w szkołach i na ulicach. Od tego czasu mundurki szkolny z przesadnie skróconą spódnicą zaczął być kojarzony z prostytutką nieletnich i na trwałe wszedł do kanonu gadżetów erotycznych. Uniform stał się często wykorzystywanym motywem w filmach pornograficznych, w których występowały aktorki udające uczennice. Do dziś jest to stały element wyposażenia miejsc schadzek zwanych *love hotels*.

Zjawiskiem powiązanim poniekąd z pornografią i fetyszami jest też „rynek wtórny” szkolnych mundurków. Niektóre dziewczęta, chcąc zarobić trochę pieniędzy, sprzedają swoje uniformy do specjalistycznych sklepów. Miejsca takie skupują od nich mundurki oraz bieliznę, czasami opatrując je zdjęciem poprzedniej właścicielki (co automatycznie podnosi ich cenę) i sprzedają zainteresowanym tego typu towarami kolekcjonerom. Klientami tych sklepów są przeważnie mężczyźni w średnim wieku i sfrustrowani młodzieńcy, nie radzący sobie z prawdziwymi dziewczętami. Najtańsze są uniformy z powszechnie znanych i łatwo dostępnych szkół, a najdroższe – te z ekskluzywnych placówek.

Mundurki w popkulturze

Sailor fuku wrosły w życie codzienne i japońską kulturę masową. Postacie uczennic w mundurkach pojawiają się w wielu filmach (teraz już nie tylko japońskich), poczynając od obyczajowych, przez komedie, sensacje czy horrory, na erotycznych kończąc. Szkolny uniform stał się ikoną szeroko rozpoznawalną i bezbłędnie kojarzoną z Japonią.

Jednym z bardziej znanych na Zachodzie przykładów wykorzystania i gloryfikacji szkolnego mundurka jest manga i stworzone na jej podstawie anime *Bishojo Senshi Sera Mun* (lub po prostu *Sailor Moon*) znane w Polsce jako *Czarodziejka z Księżycy*. W *Sailor Moon* standardowym ubiorem dla całej drużyny wojowniczek jest właśnie *sailor fuku*. Stroje, w których przedstawiane są bohaterki po przejściu transformacji w swoje magiczne *alter ega*, inspirowane były szkolnymi mundurkami i to właśnie od nich pochodzi nazwa drużyny – *Sailor Senshi* (*sera senshi*) – oraz sam tytuł mangi.

Stroje dziewczyn są istotnym elementem spajającym ich drużynę – posiadanie takich samych ubiorów podkreśla przynależność do danej grupy i pomaga budować wewnątrz niej więź, podobnie jak w środowisku szkolnym. Zbliżone do siebie wyglądem uniformy wojowniczek, przez podobieństwo, wzmacniają poczucie braterstwa i jedności oraz podkreślają, że są one jedną zwartą grupą bohaterek, a nie zbieraniną przypadkowych osób.

Dzięki odwołaniu się do dobrze znanego uczniom motywu, twórcy mangi i anime umożliwili im łatwiejszą identyfikację z jej bohaterkami.

O tym, jak silnym i rozpoznawalnym motywem stał się japoński szkolny mundurak świadczy również sięganie po niego w produkcjach innych niż japońskie, czego doskonałym przykładem jest postać Gogo Yubari z filmu *Kill Bill* Quentina Tarantino. Wykorzystanie motywu szkolnego uniformu i nastoletniej japońskiej uczennicy w kręgu popkultury zachodniej pokazuje, jak ważne miejsce zajęła symbolika japońskiego mundurka nie tylko w kraju swojego pochodzenia, ale także poza jego granicami.

Agnieszka Budzich

Absolwentka warszawskiej japonistyki z roku 2010, ryba płynąca pod prąd. Lubi pisać na różne tematy. Interesuje się anime i mangą, filozofią, astronomią oraz filmem i literaturą.

LOZA WSCH ODU

Nr 1/2011



PISMO ORIENTALISTYCZNO-AFRYKANISTYCZNE
STUDENTÓW UNIWERSYTETU WARSZAWSKIEGO

Redaktor numeru:

Jarosław Kopec

Redakcja:

Rafał Smoleń
Konrad Adamowicz
Anna Ślęzak
Mikołaj Jaworowski

Autorzy tekstów:

Tomasz Pietrzak
Agnieszka Budzich
Dominik Kolenda
Krzysztof Krakowski
Agnieszka Budyńska
Jarosław Kopec
dr Marcin Grodzki
Zbyszek Rokita
Martyna Rutkowska
Klaudia Kochan
Anna Wójcik
Rafał Smoleń

Zdjęcia:

Magda Gubała

Konsultacje merytoryczne:

prof. dr hab. Stanisław Piłaszewicz
dr hab. Piotr Balcerowicz prof. UW
dr hab. Izabella Zatorska
dr Iwona Kordzińska-Nawrocka
dr Paulina Lewicka
dr Hanna Rubinkowska-Anioł

Projekt, skład okładki i ilustracja:

Jan Kłosowski  <http://logographos.com>

Skład:

Pandawer

Druk:

Drukarnia Advert

Pismo ukazuje się dzięki wsparciu finansowemu Rady Konsultacyjnej ds. Studenckiego Ruchu Naukowego przy Jej Magnificencji Rektorze Uniwersytetu Warszawskiego i Fundacji na Rzecz Studentów i Absolwentów Uniwersytetu Warszawskiego „Universitatis Varsoviensis”.

Warszawa 2011